

KIH - a

Kurier Instytutu Historii

nr 6, maj 2005

W samym środku
mężnych zmagañ z sesją
Studenckie Koło
Naukowe z nieukrywaną
radością i satysfakcją
oddaje do Waszych rąk
kolejny numer KIH – y.
Mamy nadzieję, że nasz
Kurier stanowić dla Was
będzie wytchnienie
między egzaminami i że
będziecie po niego sięgać
ilekroć poczujecie chęć
obcowania z nie tylko
ściśle naukowym słowem
pisanym. W numerze
znajdziecie (jak zwykle)
wiele interesujących
artykułów.



Redakcja.

W poszukiwaniu kryzysu

Na jednym z ostatnich zebrań łódzkiego oddziału PTH poruszony został interesujący temat, a mianowicie kwestia kryzysu współczesnej historii oraz, w szerszym kontekście, nauk humanistycznych. Z dyskusji niewątpliwie można było wywnioskować, że kryzys jest. Ale już jego doprecyzowanie nie było łatwe. Kryzys wartości? Kryzys tożsamości? Kryzys metod badawczych? Kryzys...?

No właśnie. Pomimo że (parafrazując słynne zdanie) kryzys historii krążył nad salą, trudno było go doprecyzować. I, podobnie jak na wzmiankowanym zebraniu, tak już pewnie zostanie. Ktoś złośliwy powiedział, że prawd historycznych jest tyle, ilu jest historyków. Zapomniał jednak o studentach historii...

Jak zatem wygląda kryzys historii z poziomu studenta? Otóż już na wstępie muszę przyznać, że takowego kryzysu nie odczuwam. Składa się na to kilka przyczyn. Po pierwsze, nie czuję się skrepowany żadną szkołą historyczną czy systemem wyznaczającym kierunek i sposób badań historycznych (a brak takich ma być jednym z argumentów kryzysu historii, jako że historyk zostaje w pewien sposób sam, bez konkretnych wytycznych). Sprawia to, że moje dociekania historyczne mogą spokojnie skupić się na konkretnej, logicznej interpretacji poznawanych faktów, a kwestie niewątpliwych wpływów marksizmu i leninizmu np. na twórców XIX-wiecznych (!) planów miejskich Szadku są mi obce. Po drugie, współczesny historyk jest w tej szczęśliwej sytuacji, iż może dysponować o wiele większą wiedzą w danym temacie, niż jego poprzednicy. A to z tej prostej przyczyny, że ma dostęp do większej ilości publikacji niż jego poprzednicy, którzy sami te publikacje tworzyli. Pozwala to na lepsze opanowanie tematu i ewentualnie stworzenie czegoś nowego w tej kwestii. Po trzecie, z upływem czasu dysponujemy coraz większym zasobem metod badawczych, a co za tym idzie po prostu „sposobów na historię”. Od tradycyjnych metod krytyki źródeł, poprzez badania chemiczne zabytków, na eksperymentach z psychohistorią skończywszy. Oczywiście niektóre metody można kwestionować, niemniej nie da się zaprzeczyć, że jest z czego wybierać. Po czwarte, współczesne uprawianie nauk humanistycznych jest łatwiejsze od strony „technicznej”. Skaner, zdjęcie cyfrowe czy choćby zwykłe ksero zaoszczędzają wiele godzin żmudnego przepisywania interesujących materiałów. Dzięki pojazdom mechanicznym dociekliwy historyk może w miarę szybko znaleźć się w dowolnym archiwum, a powszechność telefonów sprawi, że nie zostanie tam zamkniętych drzwi. Pisanie jakiegokolwiek pracy bez komputera, np. przy użyciu maszyny do pisania lub, co gorsza, ręcznie - przyprawia o dreszcz wszystkich studentów historii, a z tych, którym się to udało, czyni bohaterów. No i oczywiście szybkie sprawdzenie, kim był Mieszko I, nie nastęrcza już żadnych trudności dzięki coraz powszechniejszej dostępności do internetu.

I właśnie nad tym ostatnim punktem chciałbym się dłużej zatrzymać. Chwileczkę, chwileczkę – powie ktoś – komputer, skaner, samochód, a skąd na to wszystko brać pieniądze? Przecież nie jest tajemnicą, że większość badań (wymagających „pojechania, zobaczenia i skserowania”) historycy wykonują na koszt własny.

I być może właśnie stąd bierze się poczucie kryzysu u humanistów? Nie badania, nie metody, ale po prostu pieniądze? Państwo polskie przeznaczają bardzo niewielką część budżetu na badania naukowe. Oczywiście z tej części tylko pewna suma przeznaczana jest na nauki humanistyczne. Rodzą się tutaj dylematy: czy lepiej zbudować bezpieczniejszy most (czyli dofinansować badania inżynierów budownictwa nad betonem o lepszej sprężystości) czy też może zgłębić tajemnice kultury łużyckiej (czyli przeznaczyć pieniądze na badania archeologiczne – na transport, robotników i opłacenie wynajętej na nocleg szkoły); czy lepsze jest nowe lekarstwo na ból głowy, czy też nowa interpretacja czasów PRL-u? Itd. itp. Przykłady można mnożyć. I przeważnie wygrywają mosty, leki, samochody. Wynika to z prostej hierarchii potrzeb człowieka: najpierw musi przestać boleć mnie głowa, a dopiero potem będę się wczytywał w dzieła Platona. Dlatego też nakłady na naukę, bez względu na kraj, rozdzielane są tak, a nie inaczej (co nie znaczy, że humaniści innych krajów nie dysponują stosunkowo większymi pieniędzmi). I tego nie zmienimy.

Jednakże nie powinno być to przyczyną poczucia kryzysu. Na naukach humanistycznych ciężko się „dorobić”. Jeśli mierzyć nauki humanistyczne miarą finansową to ich kryzys trwał od zawsze (czego przykładem sam Sokrates). Każdy wstępujący na drogę nauk humanistycznych powinien się z tym liczyć. Jednakże, co ciekawe, trudno wskazać epokę, kiedy humanistom działało się lepiej pod względem finansowym (zwłaszcza jeśli porównamy liczbę dawniejszych humanistów do obecnych, których przecież jest znacznie więcej).

Także porównywanie się do nauk „technicznych” jest bezcelowe. Tak „technicy”, jak i humaniści mają swoje, zupełnie inne zadania do spełnienia. Jak powiedział Jeremi Przybora: *kultura to jest to wszystko, co nie jest niezbędne, ale bez czego byłoby na świecie niemożliwie nudno*. A przecież trudno zaprzeczyć, że nauki humanistyczne, a w tym historia są częścią kultury. Tak więc póki co jeźdzmy, oglądajmy, kserujmy i dokładajmy do „interesu” – fakt, że nas na to stać sam w sobie świadczy przeciwko kryzysowi nauk humanistycznych, także na polu finansowym.

Zbigniew Głab
Semp_ja@o2.pl

Medialna historia.

Od czasu do czasu w naszych mediach pojawiają się tematy związane z historią. Dzieje się tak przede wszystkim przy okazji rocznic ważnych wydarzeń historycznych. Przy czym media za sprawą swej przystępności dla ogółu stały się dla społeczeństwa głównym źródłem wiedzy o przeszłości. Mają zatem wpływ na ilość (i jakość) wiedzy historycznej wśród maluczkich oraz na kształtowanie potocznych opinii i sądów na temat przeszłości i co za tym idzie na terażniejszość. Jednak czy po przeczytaniu artykułu historycznego w prasie codziennej lub obejrzeniu programu telewizyjnego można już powiedzieć, że zna się historię? Kiedyś pewien profesjonalny historyk (zwany również „Batmanem Historii”) pół żartem pół serio powiedział, że historia, podobnie jak medycyna, jest dziedziną wiedzy, na której zna się każdy. Podobnie jak każdy wie najlepiej (dużo lepiej od lekarza), co mu dolega, tak samo prawie każdy uważa siebie, jeśli jeszcze nie za Batmana Historii, to już na pewno za wytrawnego znawcę dziejów. W prasie na tematy historyczne rozpisują się ze szczerą pasją i rozmachem liczni publicyści, felietoniści, filozofowie, politycy a nawet entomolodzy (specjaliści od owadów)! Biorąc na siebie niemalże misję wyjaśniania historii, stają się oni w oczach czytelników wybitnymi znawcami materii dziejów. Profesjonalnych historyków wypowiadających się w mediach jest naprawdę niewiele. Dzieje się tak, ponieważ coraz częściej wydawcy traktują historię jak towar na sprzedaż, a nie jak naukę. Próbuje się ją zatem tak podrasować, aby stała się medialna i można ją było sprzedać ludziom w prasie bądź w telewizji. Historię często wykorzystuje się niestety albo do zarabiania pieniędzy albo do celów politycznych, czyniąc z niej coś na kształt brazylijskiego serialu, (który, na szczęście, już nie cieszy jak kiedyś). Taka medialna papka, składająca się z pikantnych „newsów” sprzed lat staje się bardzo wdzięcznym materiałem do długich, nocnych rozważań, niekoniecznie przy herbacie. Wykorzystują to ci pseudo-historycy i historyczni zgrywusi udający tylko Batmanów. Piszą oni właśnie takie artykuły, aby ludzie mieli o czym mówić, a nie nad czym myśleć, zgarniając przy tym trochę grosza. Czytając okolicznościowe artykuły, drukowane na przykład w okolicach 9 maja, można było dowiedzieć się wielu niezwykle interesujących faktów z historii II wojny światowej. Interesujących o tyle, że z gazety leżącej tuż obok na półce w tym samym kiosku można było wyczytać już zupełnie co innego. Co więcej, publikacje te wyróżniały się nie tylko oryginalnymi faktami. Autorzy wysuwali niezwykle ciekawe sądy na temat najnowszej historii, przypominające swoją logiką raczej teorię dotyczącą prawdopodobieństwa spadnięcia bułki z masłem posmarowaną stroną na drogi dywan (głosi ona, że im droższy dywan, tym prawdopodobieństwo jest większe). Czym innym jest przecież interesujące, pełne pasji, opowiadanie o historii, mogące pobudzić ciekawość i zachęcić do dalszych poszukiwań, a czym innym historia medialna mająca często niewiele wspólnego z prawdą.

Wojciech Marciniak (wojtek-franek@wp.pl)

Łódzka Kiszka V

O STEREOTYPIE, INTELIGENCJI I ROBOTNIKACH SŁÓW DOSŁOWNIE KILKA

Mechanizmy rządzące tak wielokształtną ludzką społecznością, jaka występowała w Łodzi, musiały być bardzo złożone. Dlatego w życiu codziennym ulegały, jak to zwykle, symplifikacji. Staje się to źródłem skrótów myślowych, swoistych odsyłaczy do świadomości, które zwane są stereotypami. Pozwalają nam one funkcjonować w miarę sprawnie pośród wieloskładnikowej rzeczywistości. Zdaniem twórcy pojęcia, Waltera Lippmanna, podstawową funkcją stereotypu jest ekonomizacja wysiłku poznawczego, a co za tym idzie postrzeganie cząstkowe, jednostkowe i, przede wszystkim, schematyczne. Moment jego narodzin jest trudno uchwytny, nietrudna jednak jest konstatacja, że pojawia się on w każdej niejednorodnej zbiorowości. Co ciekawe, wydaje mi się, że nie wymykają się mu nawet ci, którzy nie mogą być posądzeni o oszczędzanie wcześniej wspomnianego wysiłku poznawczego. Ci, którzy myśleniem zajmują się niejako zawodowo. Mam oczywiście na myśli intelektualistów. Tak długo, jak nie uświadamiają sobie oni narzuconych im z góry wytworów kulturowych, nie będą próbowali stawić im czoła. Tak długo, jak nie przyjrzą się wnikliwie konkretnemu przykładowi „obcego”, pozostanie on nim dla nich. Wreszcie tak długo, jak jedynym wyznacznikiem odrębności tworzącym ich samoświadomość będzie dla nich przeciwstawienie „mojego” – „cudzem”, racjonalizacja emocjonalnego podejścia nie będzie dana nawet im.

Inteligencja łódzka z trudem musiałaby unikać wyzwania, jakim było określenie się wobec miasta robotniczego. Drugim takim punktem była wielonarodowość Łodzi. Ciekawym połączeniem tych dwóch są opinie o robotnikach, wywodzących się z różnych grup narodowych. Choć nie wiadomo, na ile to kwestia ulegania stereotypom, a na ile wynik obserwacji jednego z autorów, pisze się, iż w porównaniu z Polakami, robotnicy niemieccy starali się zachowywać bardziej rubasznie i czasem dość arogancko w miejscach publicznych. Tutaj mamy już do czynienia z kategorią podwójnej obcości – społecznej i narodowej. Sam temat obcości nabiera szczególnych właściwości w kontekście zjawiska emigracji ekonomicznej, przemieszczeń, gdy rodzą się różne lęki i poczucie zagrożenia. W przypadku Łodzi przełomu XIX i XX wieku w znacznej liczbie mamy właśnie imigrantów. Byli nimi i robotnicy, przybyli ze wsi i inteligencja, przybyła z różnych zakątków, często z Warszawy, Lwowa, Kielecczyny i Radomia. Każdy z nich był w jakimś sensie poszukiwaczem szczęścia (materialnego bądź uznania) w nowej ziemi, która stwarzała do tego warunki. W ten sposób znajdowali się oni w tym znanym łódzkim tyglu, miejscu nowym, w którym musieli się jakoś samookreślić, często poprzez analogię lub jej brak do innych grup. Tak powstawały podziały na swoich i obcych. Inteligencja i robotnicy musieli i tworzyli wobec siebie odrębne społeczności,

ale nie antagonistyczne czy wrogie. Choć brakowało dialogu wprost, były podejmowane próby porozumienia i kontaktu. Szczególne zadania przypisywane były teatrowi. Kolejni dyrektorzy scen łódzkich, mimo zniechęcającego widma bankructwa, podejmowali usilne próby wyjścia naprzeciw robotnikom. Mogło to wynikać chociażby z przypuszczeń o łatwiejszym odbiorze tej sztuki niż plastycznej, literackiej czy muzycznej. Sądzę, że najważniejszy aspekt wzajemnego stosunku inteligentów i robotników do siebie przebiegał właśnie na linii opieki kulturalnej, oświatowej i społecznej tych pierwszych nad drugimi. Na ile była ona efektywna, to już odrębny temat.

Lidia Jurek
lidzia_hawke@wp.pl

GENEALOGICZNIE... (4)

Zgodnie z zapowiedzią przyszła kolej na wskazanie najtrudniejszych przeszkód, pojawiających się na drodze genealoga-amatora. Jest ich sporo i łatwo je zauważyć, ale – co chcę koniecznie podkreślić – w żadnym wypadku, wyjąwszy może zniszczenie wszystkich dokumentów, nie są to trudności nie do przebycia. Nie należy się nimi zrażać; poszukiwanie wyjścia z sytuacji jest czasem żmudne, ale im dłużej trwa i im bardziej jest wyczerpujące, tym większa satysfakcja z pozytywnego rozwiązania.

Pierwsze trudności dotyczą docierania do dokumentów, w których spodziewamy się pozostawionej części naszej rodzinnej przeszłości, nawet tych tak niezbędnych, jak opisane poprzednio Akta Stanu Cywilnego czy metryki kościelne. Zdarzają się niestety przypadki zniszczenia całych dekad ksiąg; na szczęście region łódzki uniknął ich w dużej mierze (np. jeśli idzie o akta SC, to przeważnie zachowały się całe zespoły, brakuje w nich tylko poszczególnych roczników, w tym niekiedy, co bardziej komplikuje sytuację, początkowych roczników, tj. 1808-1817). Poza tym jeśli natrafimy w archiwum na brak poszukiwanego rocznika, trzeba pamiętać, że materiały dotyczące jednego miejsca, np. parafii, często są przechowywane w dwóch, a nawet trzech archiwach. Gwoli przykładu: księgi ASC z Brzezina przechowywane są po części w Łodzi, Tomaszowie i Grodzisku Mazowieckim. Archiwa kościelne stosują jeszcze inną zasadę dyslokacji archiwaliów, opartą o siatkę diecezjalną. Metryki znajdują się więc często w innych miastach niż XIX-wieczne akta. Są też i takie parafie, których proboszczowie nadal, półlegalnie co prawda, przechowują duplikaty ksiąg (czasem to jedyne ocalałe egzemplarze).

● ile jednak niedogodność wielu miejsc przechowywania akt można pokonać, urządzając sobie jednodniową wycieczkę, lub też zlecając kwerendę archiwistom (ostrzegam, kosztuje co najmniej kilkanaście złotych za godzinę!!),

o tyle znacznie trudniej dotrzeć do analogicznych dokumentów z ziem dawniej do Polski należących oraz przyłączonych w 1945 r. Niewiele ksiąg powróciło (warto poszukać w Archiwum Archidiecezji Lwowskiej w Krakowie i w Archiwum Zabuzzańskim przy USC Warszawa-Centrum) i, co dość na początku XXI w. dziwne, polskie służby archiwalne nie wystarały się dotąd o wykonanie mikrofilmów z bogactwa ksiąg, przechowywanych poza granicami. Archiwa naszych wschodnich sąsiadów przechowują przecież nie tylko informacje o losach Polaków XX w., ale i o dziesiątkach pokoleń, które żyły wcześniej na tych terenach. Tezy o spaleniu wszystkich dokumentów polskiej przeszłości przez NKWD nie odpowiadają w całości prawdzie.

Trzeba jeszcze przypomnieć, że pracownicy archiwum, choć nader sympatyczni i skorzy do pomocy, są również ludźmi zapracowanymi, mającymi zadania do wykonania inne niż tylko dyżurowanie w pracowni naukowej. Dlatego też, niezależnie od tego, w którym archiwum zaczynamy nasze poszukiwania, musimy wiedzieć konkretnie, czego szukamy – świadomość ta musi przekładać się przynajmniej na możliwość precyzyjnego określenia rodzaju archiwaliów, z których chcemy korzystać. Archiwista może nam udostępnić od ręki mikrofilm akt z danej parafii, ale jeżeli przyjdziemy do niego, dysponując tylko nazwą mikroskopijnej wsi, dziś nieistniejącej, o niewiadomej dla nas przynależności parafialnej – rozłoży bezradnie ręce.

Odnalezienie dokumentu nie kończy trudności – związane są chociażby z odczytaniem dokumentu. Nieczytelność pisma kojarzymy raczej ze średniowieczną minuskułą i jej podobnymi przedmiotami zainteresowań paleografów, ale odręcznie pisane akta i metryki z XVIII i XIX w. przy pierwszym z nimi spotkaniu również mogą sprawiać wrażenie niedostępnych i nie do odcyfrowania. Nie należy się zniechęcać; ćwiczenie czyni mistrza i to, co przy pierwszym akcie było nie do przebycia, przy setnym staje się jasne i wyraźne. Dokumenty urzędowe zawsze pisane były według ustalonych formuł, toteż dzięki odczytaniu powtarzających się wyrazów, można z powodzeniem rozszyfrować informacje najważniejsze – daty, osoby, miejsca. Nie należy się też przerażać tym, że księgi XIX-wieczne w sporej części dawnej Rzeczypospolitej pisane były po rosyjsku – i tu jednolite i z grubsza niezmiennie formy dokumentów pozwalają domyślać się miejsca kluczowych danych. Wystarczy tylko nauczyć się alfabetu (graždanki) w jego dawniejszej, nieco poszerzonej wersji (z literami ‘th’ i drugą formą ‘je’), nabrać w nim niejakiej płynności, a możliwe stanie się odczytanie każdej nazwy i każdego imienia. Znacznie bardziej hermetyczny jest tzw. alfabet gotycki (*Kurrentenschrift*), stosowany na ziemiach niemieckojęzycznych bądź wchodzących w skład państw niemieckich. Rozpoznanie duktu, modułu i kanonu pisma (inaczej mówiąc „rozczytanie” ręki pisarza) trwa dłużej, odczytywanie jest żmudne, ale możliwe.

Wspomnieć trzeba jeszcze o minach, na które badacz-genealog natrafić może wewnątrz już odczytanych źródeł. Jedną z najbardziej dokuczliwych jest

zmiennosc nazwisk, związana juź to z przechodzeniem z jednego na drugi alfabet, a zatem z odmiennym oddawaniem glosek przez litery, juź to z brakiem urzędowego utrwalenia pisowni. Wbrew utartym poglądom jeszcze w XIX w. zdarzało się, że ojciec nosił inne nazwisko niż syn; poza tym chłopi z okolic Łodzi niekiedy modyfikowali swoje nazwiska (np. z ‘Mrówka’ na ‘Mrówczyński’). Wcale często korzystali też z dwóch, mających raczej charakter rodowych przydomków, niż *sensu stricto* nazwisk. Proboszczowie wpisywali w akt albo oba (w formie *N. vel N.*) albo tylko jedno. Można więc spotkać sytuację, w której np. Piotr Domińczak z jednego dokumentu i Piotr Wojtasik z innego to jedna i ta sama osoba. Dlatego przeglądając indeksy ksiąg albo metryki należy posługiwać się także kryterium imion, a nie tylko nazwisk. Nie należy także przywiązywać większej wagi do podawanych w aktach zgonów kobiet ich nazwiskach panieńskich, zwłaszcza gdy stawającymi są w akcie sąsiedzi zmarłej – nierzadko jest ono niewłaściwe. Wiek zmarłego podawany jest w przybliżeniu – czasem do 10 lat. Czasem niewłaściwe jest też miejsce urodzenia. Tego rodzaju błędy wydłużają czas poszukiwania poprzednich generacji, ale nie uniemożliwiają ich – przede wszystkim dlatego, że każda osoba dożywająca dorosłości figuruje przynajmniej w trzech dokumentach. Można więc dojść do prawdy mimo fałszywych tropów.

Wszystkich zainteresowanych genealogicznym spojrzeniem na własną rodzinną historię, zapraszam do korespondencji: andrzejkompa@o2.pl; spróbuję odpowiedzieć na każde pytanie.

Andrzej Kompa

ŚPIEWAJĄC O PRL

Moim pierwotnym zamysłem było napisanie kilku słów o Jacku Kaczmarskim (10 IV minął rok od jego śmierci). Jednakże doszłam do wniosku, że jego osoba, wraz z dorobkiem artystycznym, jaki reprezentuje, jest znana i nie wymaga przypomnienia. Postanowiłam więc przybliżyć sylwetkę innego barda opozycji, dzisiaj zapomnianego, a dla mojego pokolenia wręcz nieznanego. Mam na myśli Jana Krzysztofa Kelusa (ur. 1942). Jego twórczość rozpoczyna się u schyłku lat 60-tych a kończy w połowie lat 80-tych. W roku 1977 nagrał i powielił sam – w warunkach domowych – pierwszą kasetę z piosenkami z lat 1969-1977: *Ekshumacja polskiej kultury niezależnej*. W rzeczywistości PRL-u podziemna fonografia była ewenementem. Ponadto, po ostatniej piosence na tej kasecie następowało oświadczenie, w którym artysta zastrzegł swoje prawa autorskie, udzielał zgody na reprodukcję kasety i... podawał swoje imię, nazwisko i dokładny adres. Mimo że w tym czasie ukazywały się już biuletyny KOR-u podpisane listą nazwisk i adresów, nadal był to niezwykle gest. Kelus w swoich utworach starał się przedstawić

rzeczywistość PRL-u, zjawiska i wydarzenia których był świadkiem. Śpiewał o budowaniu „drugiej Polski” (*Piosenka o drugiej Polsce*), o jeźdźeniu do Radomia, gdy jako współpracownik KOR-u brał udział w akcji pomocy represjonowanym (*Ballada o szosie E7*), o Solidarności i wprowadzeniu stanu wojennego (*Sentymalna Panna S.*, *Piosenka patetyczna*, *Jesień w pasiece*). W jego twórczości nie ma agresji, nienawiści, patosu. Jest szczerłość, przyznanie się do strachu i zwątpienia. Ponadto odnajdziemy w jego utworach liryzm, nostalgię, ironię i autoironię, pewne treści uniwersalne, które sprawiają, że mimo zmiany realiów jego twórczość ma nam ciągle coś do zaoferowania. Rozważania nad sensem takich pojęć jak „prawda”, „uczciwość” i nad tym, jak daleko jesteśmy w stanie odejść od naszych ideałów – są to zawsze aktualne kwestie. Abstrahując od twórczości Kelusa, należy zwrócić uwagę na jego barwny życiorys. Zainteresowanym tą postacią, polecam książkę, napisaną w formie wywiadu, zawierającą również notatki artysty i różne opinie o jego twórczości (np. Jacka Kuronia, Jacka Kleyffa) – *Był raz dobry świat... Jan Krzysztof Kelus w rozmowie z Wojciechem Staszewskim (I nie tylko)*, Warszawa 1999. Zachęcam również wszystkich do zapoznania się z jego twórczością. Na koniec wrócę do osoby Jacka Kaczmarskiego, który znał osobiście Kelusa i tak oceniał jego piosenki: „Piosenki Jana Krzysztofa Kelusa, dla mojego pokolenia już w połowie lat siedemdziesiątych legendarne, a dla <pokolenia '68> boleśnie realistyczne, pozostają do dziś jedynym bodaj spełnieniem postulatów Zagajewskiego i Kornhausera: przedstawiają <świat nieprzedstawiony> PRL-u.”

Sylwia Wielichowska

Z cyklu: Najpiękniejsze miejsca Łodzi

Mieszkam w Łodzi już kilka lat, studiując, spędzając przyjemnie czas na Lumumbowie, w bibliotekach i lokalach rozrywkowych tego pięknego robotniczego miasta. Jest w nim wiele miejsc pięknych, tchnących historią i znanych wszystkim współczesnym „łodźszczykom” i przeciętnym Polakom. Napisano już o nich wiele, więc zmarnuję trochę papieru na opis jednego z miejsc w Łodzi, gdzie często bywam – Rynku Bałuckiego. Jeśli ktoś chce wiedzieć, jakim cudem w tym mieście czteroosobowa rodzina może przeżyć miesiąc za 849zł brutto minimalnej pensji, to tam znajdzie odpowiedź.

Plac ograniczony ulicą Zgierską, Zawiszy i Łagiewnicką stanowi pierwszą, elitarną część rynku. Tu sprzedają kupcy legalnie prowadzący działalność gospodarczą. Sprzedają ubrania, buty, galanterię, meble, perfumy, chemię gospodarczą, żywność. Są to rzeczy na ogół dość dobrej

jakości, produkowane (zwłaszcza ubrania) w Polsce. Natomiast klientami są ludzie mający stałą pracę, chcący nosić się z pańska, ale bez pieniędzy na zakupy na Pietrynie. Spodni Levi'sa tam nie kupisz, ale polskie Stanley'e z Rawy Mazowieckiej jak najbardziej. Jak ktoś szuka taniego garniaka na obronę, to niech tam wpadnie. Od Rynku Bałuckiego odchodzi na północ ulica Ceglana. Prowadzi ona na obszerny plac przylegający do styku ulic Zachodniej i Zgierskiej, ograniczonej od północy ulicą Dolną. Tam najtaniej w Łodzi można zaopatrzyć się w warzywa i owoce, ubrania z Chin, wszelkiego rodzaju wyroby przemysłu naszych wschodnich sąsiadów, łącznie z tymi luksusowymi, jak biżuteria, futra, alkohol (sprzedawany w pięknych opakowaniach po oleju spożywczym) oraz papierosy bez złodziejskiego haraczu akcyzy. Jak mam przeżyć tydzień za 10 zł, to tam kupuję parę kilo ziemniaków, cebuli, marchewki i – jem zdrowo-kolorowo. W tej części rynku nie wszyscy oferujący swoje towary robią to zgodnie z prawem Rzeczypospolitej, ale dzięki temu bezrobotni i co biedniejsi studenci mogą kupić produkty niezbędne do życia (cen spirytusu i papierosów nie podaję, by nie być posądzonym o kryptoreklamę). Policji i Straży Miejskiej tam się nie spodziewaj, zresztą oni też nie są krezusami i po robocie też tam kupują. Jest jeszcze trzecia część rynku, gdzie porządni obywatele zaglądną chyba tylko przez przypadek. W piątek i sobotę, wzdłuż torów tramwajowych na ulicy Dolnej, w miejscu, gdzie łączy się ona z Łagiewnicką, oferują swoje dobra najbiedniejsi mieszkańcy Łodzi, alkoholicy, bezdomni, bezrobotni wyprzedający ostatnie domowe skarby. Można tam kupić chyba cały zestaw orderów, pamiątek rodzinnych, komputery Commodore i Atari (kto jeszcze je pamięta?). Niesamowite wrażenie robią rzeczy sprzedawane przez bezdomnych, częściowo wygrzebane w śmietnikach, częściowo ukradzione: stare ubrania i buty, kawałki zastaw stołowych, używane piłki tenisowe, noże do krojenia chleba i do „krojenia” ludzi. Często są tam książki. Dominuje polska klasyka, romansidła, poradniki motoryzacyjne, sporo książek historycznych, starych podręczników i stare czasopisma pornograficzne. Jeśli kogoś interesują stare aparaty fotograficzne, części zamienne do komarów, rometów czy innych nieużywanych dziś powszechnie pojazdów i urządzeń, to tam je znajdzie. Nie jest to miejsce dla dżentelmenów. Handlujący umilają sobie czas oczekiwania na klienta grając w karty, pijąc nieokreślony, bezbarwny bądź niebieskawy płyn z plastikowych pojemników po musztardzie sarepskiej, konwersując ze sobą polszczyzną pełną wyjątkowo twórczych neologizmów.

Minęło 5 lat ciężkich studiów nad „Nauczycielką życia”. Powoli kończę szlifować ostatnie akapity pracy magisterskiej. Już niedługo nie będzie stypendium, przytulnego akademika (nawet prusaki polubiłem). Nauczycieli historii i tak jest za dużo, a IPN jakoś nie

chce zaoferować mi posady, choć z przyjemnością bym paru polityków przelustrował. A żyć z czegoś trzeba. W tej sytuacji jeszcze długo będę klientem Rynku Bałuckiego, a kto wie, może stanę się biznesmenem z Dolnej. Dlatego już teraz zachęcam wszystkich do zakupów na Bałuckim (pamiętajcie o trzymaniu portfeli zawsze w wewnętrznej kieszeni). Szukajcie stoiska z szyldem **KOBYLORZ**. Dajcie zarobić koledze ze studiów.

Piotr Bieliński
kobylorz@wp.pl

Z przyjemnością informujemy, że w naszym Instytucie działa już ogólnodostępna, profesjonalna i nowoczesna Pracownia Kserograficzna i Introligatorska. W szerokim wachlarzu usług znajdują się m. in.:

- *Kserokopie A4 od 6 – 10 groszy*
- *oprawy prac wszelakich*
- *eleganckie passe-partout*
- *wydruki i skanowanie*
- *reperacje i oprawy druków, starych książek, czasopism*

Pracownia oprawia profesjonalnie każdy rodzaj prac bez względu na format i objętość. Oprawy wykonywane są na miejscu, bez korzystania z tzw. gotowych okładek.

Zespół redakcyjny: Zbigniew Głęb, Lidia Jurek, Bruno Kamiński, Andrzej Kompa, Wojciech Marciniak

Współpraca: dr Piotr Krupczyński, Piotr Bieliński, Sylwia Wielichowska.

**Drukowano w Pracowni Kserograficznej Instytutu Historii
Uniwersytetu Łódzkiego oraz w Pracowni Introligatorskiej
i Kserograficznej pp. Ewy i Amilkara Kosińskich.**



Z ŻYCIA STUDENTÓW – DAWNO, DAWNO TEMU

„Naokoło Świata”, III 1928 r.

rys. Z. Berent